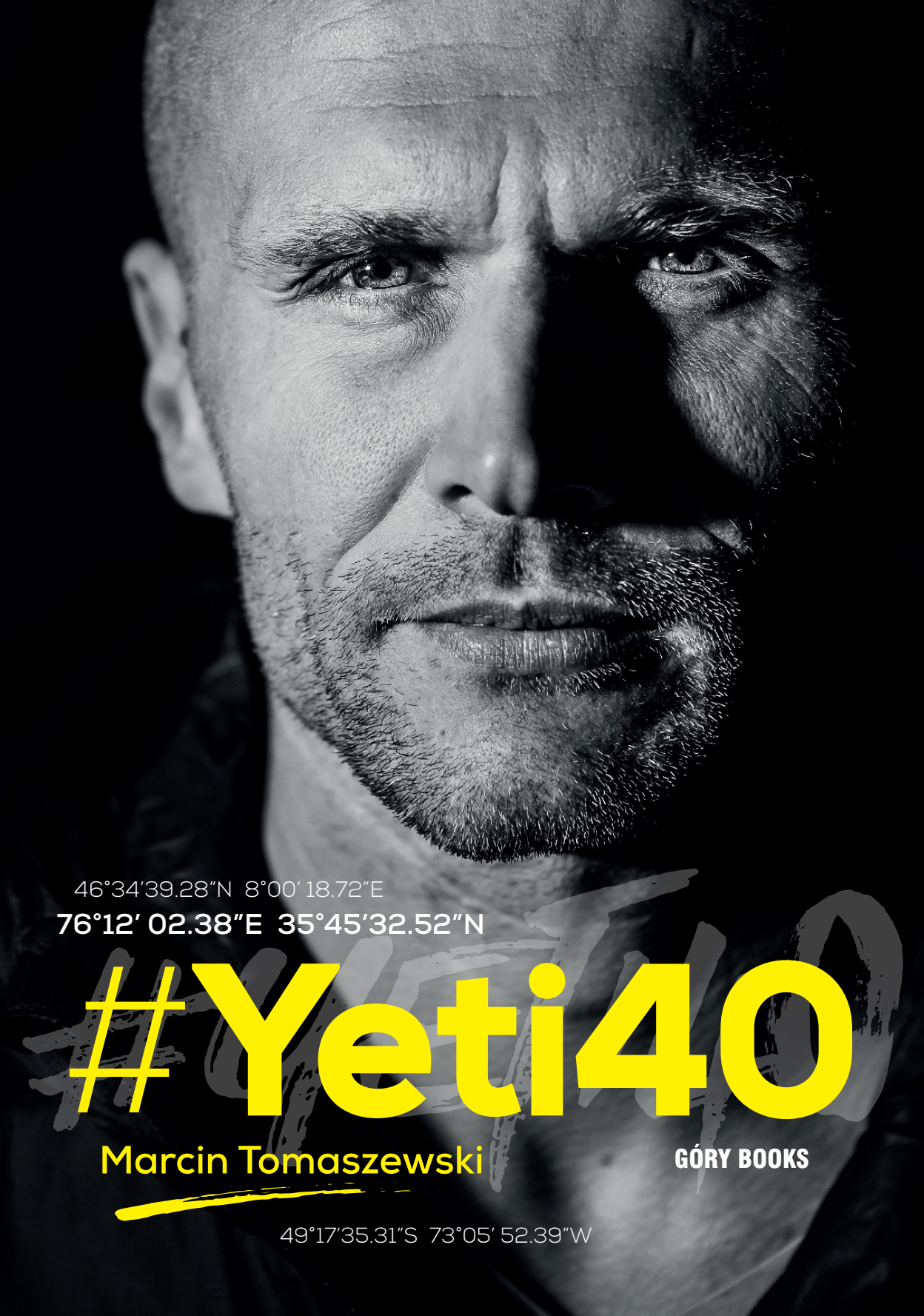




46°34'39.28"N 8°00'18.72"E  
76°12' 02.38"E 35°45'32.52"N

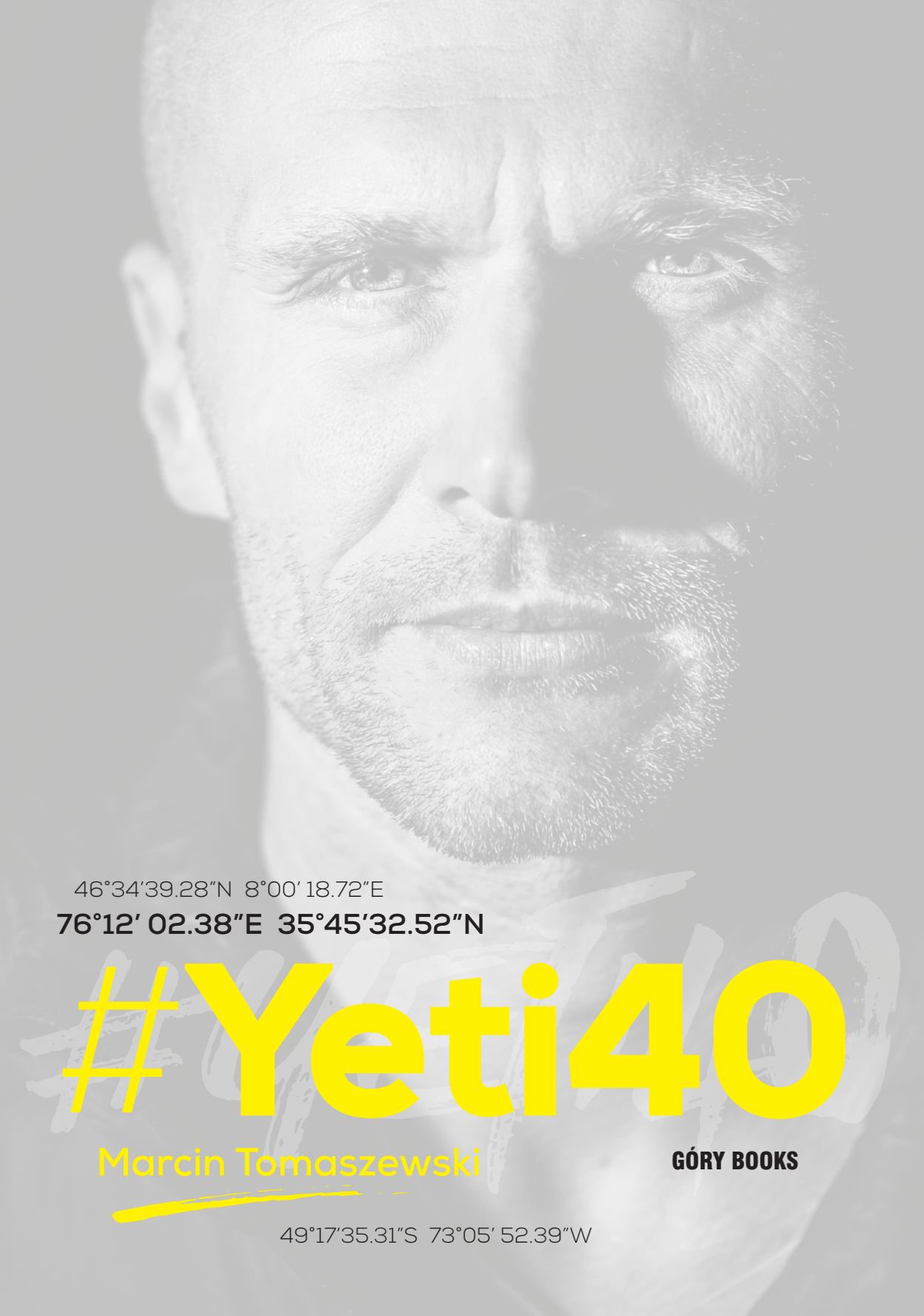
# #Yeti40

**Marcin Tomaszewski**

**GÓRY BOOKS**

49°17'35.31"S 73°05' 52.39"W





46°34'39.28"N 8°00' 18.72"E  
76°12' 02.38"E 35°45'32.52"N

# #Yeti40

Marcin Tomaszewski

GÓRY BOOKS

49°17'35.31"S 73°05' 52.39"W



46°34'39.28"N 8°00' 18.72"E  
**76°12' 02.38"E 35°45'32.52"N**

# #Yeti40

**Marcin Tomaszewski**

**GÓRY BOOKS**

49°17'35.31"S 73°05' 52.39"W

*Dedykuję moim dzieciom:  
Mai, Ignasiowi, Adasiowi oraz Stasiowi.*

# OD YETIEGO

Drogi Czytelniku,

dziękuję, że sięgasz po moją książkę. To, co udało mi się stworzyć, jest swego rodzaju podsumowaniem na półmetku mojego górskiego życia. Przenikają się tu intensywnie dwie rzeczywistości: prywatna codzienność, którą chciałbym pozostawić sferą zastrzeżoną, i alpinizm – fundament wszystkiego. Opowiem więc przede wszystkim o górach, tych moich, wypełniających mnie i nierzadko o mnie stanowiących.

Moje życie jest pod wieloma względami ekstremalne, przepełnione trudnymi wyborami i wymagającymi odwrotami. W dzieciństwie miałem lęk wysokości. Odstawałem pod tym względem mocno od rówieśników, którzy nie mieli takich fobii. Ale ja nie godziłem się na swoje słabe strony i to właśnie pozwoliło mi zmierzyć się z ówczesnymi zmorami. Jako mały chłopiec kilka lat przeleżałem w szpitalach – zbyt wielkie serce pompowało za dużo krwi do dziecięcego ciała. To samo serce służy mi do dzisiaj i przypomina o tym, że warto o siebie walczyć. Chęć pokonywania własnych słabości, ciekawość życia, apetyt na odkrywanie tajemnic wciąż powodują, że wytyczanie nowych dróg traktuję jako wspianą przygodę.

Marzenia pozwalały mi odnaleźć kierunek mojej drogi i cele, które w późniejszych latach realizowałem. Od zawsze trwam w przekonaniu, że marzenia się nie spełniają, marzenia się spełnia – po to są. Przeciwności w ich realizacji pozwalają na jeszcze większą mobilizację. To przekonanie kształtuje mnie jako alpinistę, a przede wszystkim jako człowieka.

Big wall to najbardziej techniczna odmiana alpinizmu, polegająca na wspinaczce po wielkich, spionowanych, często przewieszonych ścianach. Na ten rodzaj maratonu wspinaczkowego wybieram się kilka razy w roku, spędzając na wiszących biwakach długie tygodnie w doborowym, bardzo kameralnym gronie. Przestrzeń i ja, wiszący kilkaset metrów nad ziemią. Cel godny chłopaka, który panicznie bał się wysokości, prawda?

Każda droga wielkościanaowa jest dla mnie symbolem podróży przez życie. Z pasją wykładam kamienie na tej czasami wyboistej ścieżce, która niejednokrotnie stawia przede mną kolejne przeszkody. Codziennność uczyniła ze mnie lepszego lub gorszego ojca, kilkukrotnego męża, wciąż zabieranego syna lub też dawno niewidzianego przyjaciela. Ekstremum doświadczeń, jakie wiążą się ze wspinaczką, pozwala osiągnąć stan, w którym podobnie czuję się na szczycie góry, jak i na brzegu morza w towarzystwie najbliższych. Motorem mojego serca – gdziekolwiek ono przebywa – jest tęsknota za tym, co kocham i tymi, których kocham.

W *#YETI40* chciałbym podzielić się nie tylko opowieściami o wyprawach. Przede wszystkim zależy mi na przekazaniu mojego credo, że cokolwiek by się działo wokół nas, należy zerwać okowy własnych słabości, pozostając wiernym sobie. Myślę, że dobrym nośnikiem tego typu prawd są bajki, które z upływem lat odstawiamy gdzieś na dolną półkę. Dlatego podczas wypraw sam zacząłem je pisać. W pierwszym odruchu dla moich dzieci, którym swoją nieobecnością odbieram czas bycia razem.

Umysł dzisiejszego człowieka coraz bardziej przyzwyczaja się do odwrotnej chronologii. Na Instagramie czy Facebooku poznajemy nowych znajomych w takiej właśnie kolejności: od wydarzeń najnowszych do tych z przeszłości. Według tego klucza poznać *#Yetiego40*. Choć w moim przypadku taki układ ma głębsze znaczenie, nie jest to tylko przywiązanie do nowoczesnych form komunikacji. Z pełną świadomością, prezentując swoją skalno-lodową drogę, wykładam najpierw kamienie (czasem i te milowe, przynajmniej dla mnie!), a potem dopiero kamyki. Najpierw prezentuję Yetiego, jakiego możecie spotkać dzisiaj, aby w kolejnych rozdziałach pokazać, jak doszedł do tego miejsca i jakie doświadczenia go ukształtowały.

Zaczynam więc opowieści od zupełnie świeżutkiej wyprawy z grudnia 2016 roku i cofam się do pierwszej w roku 2000. W połowie drogi prezentuję swoje porażki. I to nie dlatego, że ponosiłem je tylko na początku: wręcz przeciwnie, do dzisiaj sporo moich wypraw i górskich przedsięwzięć kończy się niepowodzeniami, i z pewnością jeszcze z wielu kolejnych wrócę na tarczę. Ale stan ducha związany z porażką lub z sukcesem połowicznym kojarzy mi się właśnie z półmetkiem, ze zdobywaniem doświadczenia potrzebnego, aby dojść do wyśnionych i najwyższych celów.

W roku 2000, kiedy pojechałem na pierwszą wyprawę, miałem już za sobą tysiące metrów przewspinanych w mojej kolebce – w Tatrach, a także w skałkach, w środowisku industrialnym i na sztucznych ścianach. Opowiem także o tych etapach mojej wertykalnej edukacji.

Wędrując od dziś do kiedyś, kończę w świecie dziecięcych bajek, ważnych – w co mocno wierzę – także dla dorosłego człowieka. Chciałbym je więc dedykować wszystkim czytelnikom, dużym i małym.

Życzę dobrej lektury i mam nadzieję, że od czasu do czasu będziecie wracać do tych opowieści, aby znaleźć w nich coś pogodnego w pochmurne dni.

Byłoby jednak nie w porządku, gdyby ta opowieść o mnie nie rozpoczęła się też od podziękowań dla ludzi, dzięki którym teraz JESTEM. Arkadiusz „Zubek” Bojarun i Piotr „Pietka” Brejwo – Wasza idea Klubu Trekkingowego i pierwsze węzły pokazały mi kierunek. Darku „Łysy” Sokołowski, w pierwszych latach mojego wspinania byłeś moim mentorem, pokazałeś mi, jak trenować i przygotować się w góry. Mamo, zawsze byłeś ze mną, chociaż bardzo się bałaś. Razem szyliśmy rękawiczki i spodnie z zakupionego w hurtowni polara. Przyjaciele, wielu Was, Wy wiecie... Wszystkim, którzy pragnęli mnie powstrzymać, za to, że stawałem się dzięki Wam silniejszy i coraz mocniej zdeterminowany. Dziękuję tym, którzy mnie stworzyli i tym, którzy pomogli w powstaniu tej książki.

Dziękuję również mojej silnej, pięknej Żonie. Sylwuniu...

Marcin Yeti Tomaszewski



46°34'39.28" N  
8°00' 18.72"E

#ELUER

2016  
TITANIC

46°34'39.28" N  
8°00' 18.72"E

46°34'39.28" N  
8°00' 18.72"E

Titanic – nie ma chyba lepszej nazwy dla drogi na górze, na której zginęło tak wielu wybitnych alpinistów. Mowa oczywiście o północnej ścianie Eigeru, która towarzyszyła mi przez całe górskie życie. Zakorzeniona głęboko w mojej świadomości była symbolem niedostępności i przerażającej mocy natury. W ciągu dwóch dekad moje relacje z Eigerem urosły do rangi porachunku. Dopiero gdy w grudniu 2016 roku wraz z Tomem Ballardem wytyczyliśmy na niej nową drogę, uznałem, że nasze rachunki są wyrównane. Teraz jesteście kwita, Ściano.

Moje pierwsze uderzenie na „Mordwand” odbyło się w 1995 roku, gdy w wieku dwudziestu lat postanowiłem przejść *Drogę Klasyczną* z Grzegorzem Mołczanem. Uwielbiałem nazywać go „ratownikiem nizinny”, co nie zawsze spotykało się z jego entuzjazmem. Pochodził z Bieszczad, nie miał palców u jednej ręki, ale za to świetnie sobie radził w skałkach i na zimowych wspinaczkach.

Grzegorz mieszka teraz w pięknym miejscu, gdzieś pod połoninami i z pewnością do dziś wspomina naszą eskapadę na wariackich papierach. Bez odpowiedniego doświadczenia i wbrew zapowiadany opadom śniegu wbiliśmy się w ścianę, która uwięziła nas już po jednym dniu. Skończyło się wezwaniem pomocy.

Wspinałem się na Eigerze wielokrotnie i za każdym razem czułem potrzebę pozostawienia po sobie nowej polskiej linii na jego północnej ścianie. To marzenie prześladowało mnie przez lata i pogłębiało się z każdym odwrotem z legendarnej urwiska. Podczas kolejnych wspinaczek odpadałem od ściany z odłamkami luźnych skał, łamiąc przy tym żebra, lub też przyjmowałem studzące zapały wodne bicze. Karty odwróciły się dopiero w czasie wspinaczki z Tomem Ballardem.



Północna ściana Eigeru z wrysowaną linią *Titanic*.



Sortowanie sprzętu dzień przed wyjściem w góry.



Transport sprzętu ze stacji kolejki Alpiglen pod ścianę.



Na szczycie Civetty z Tomem Ballardem.

Nasza znajomość zaczęła się przypadkowo. Odbierając we włoskiej miejscowości Val Gardena wyróżnienie za wytyczenie nowej drogi na Trollach, postanowiłem skorzystać z okazji i kilka godzin przed ceremonią wyskoczyć w góry. Firma Camp&Cassin, zaopatrująca mnie w sprzęt, poleciła mi towarzystwo innego członka teamu, który był wtedy w okolicy. Po porannym spotkaniu i szybkim podejściu pod górę wytyczyliśmy krótką drogę *Off the Beaten Track* na ścianie Montello. Niby nic wielkiego, jednak pozostawienie swojego tropu na ścianie zawsze było dla mnie pewną formą nieśmiertelności.

Po kilku miesiącach ponownie związaliśmy się z Tomem liną, wytyczając nową drogę *Dirty Harry* na północnej ścianie Civetty w Dolomitach. Decyzja o wyprawie na północną ścianę Eigeru była już tylko kwestią czasu. Napisałem do Toma, czy jest zainteresowany tym projektem. Po chwili dostałem odpowiedź i kilka zdjęć ściany z pomysłami na nowe linie. Nasza korespondencja była zwięzła, wręcz woj-skowa. Eiger jest jego domem, szczególnie że przepłynął go jeszcze w brzuchu swojej mamy, która pokonała *Drogę Klasyczną*, będąc w czwartym miesiącu ciąży. Brałmy pod uwagę dwie potencjalne linie. Mnie marzyła się prawa flanka i okolice drogi – nomen omen – *Yeti*, zaś Toma ciągnęła lewa część ściany. Jego projekt był lepiej rozpoznany niż moja potencjalna linia, więc to on poszedł na pierwszy ogień.

Na spotkanie wyznaczaliśmy dzień 28 listopada w miejscowości Interlaken. Po odebraniu Toma z dworca pojechaliśmy do Grindelwaldu, gdzie spędziliśmy noc. Kolejnego dnia po sprawnym spakowaniu sprzętu wjechaliśmy kolejką naziemną do stacji Alpigen, z której przetransportowaliśmy bagaże. Potem założyliśmy



Podejście z drugim ładunkiem pod ścianę.

biwak pod ścianą. Zaplanowaliśmy działanie w stylu kapsułowym z noclegami w portaledge'u. Już pierwszą noc spędziliśmy na zawieszanej nad śniegiem platformie. Składanie aluminiowych rurek zawsze wymaga czasu i cierpliwości, jednak ten wysiłek szybko procentuje w postaci komfortowej i przespanej w ciepłe nocy. Kolejnego dnia, zaopatrzeni w prowiant na dziesięć dni, rozpoczęliśmy przedzieranie się przez pierwsze metry ściany.

Tom sprawnie przeszedł pierwszy długi wyciąg klasyczny. Choć wspiął się w ciężkich zimowych butach, szło mu nadzwyczaj lekko. Wyżej zaczynał się teren śnieżno-mikstowy, który doprowadzał pod kilkunastometrowy lodospad. Po kolejnych wyciągach w późnych godzinach popołudniowych dotarliśmy do drugiego biwaku. Wspinając się, holowaliśmy za sobą sprzęt ważący niemal sto kilogramów. Transport jest jedną z najbardziej niewdzięcznych czynności, szczególnie w prostym, połogim terenie, gdzie wory blokują się niemal na każdym metrze.

Wieczorem, po rozbiciu platformy, w milczeniu gotowaliśmy posiłek, aby wreszcie, planując kolejny dzień, paść do śpiworów. „Planowanie” brzmi dumnie, ale Tom praktycznie nic nie mówi. Ogranicza się jedynie do odpowiedzi na zadawane pytania. Zupełnie mi to nie przeszkadza, bo widzę w nim siebie sprzed lat. Dopiero niedawno Yeti nieco bardziej się otworzył i rozgadał.

W ścianie spędziliśmy łącznie siedem dni: wspinaliśmy się, poręczowaliśmy i przenosiliśmy kolejne biwaki do góry. Linia, którą wytyczaliśmy, składała się z kilku bastionów skalnych przedzielonych odcinkami mikstowymi lub polami śnież-



Druga bariera skalna – Yeti pokonuje pierwsze metry ponad stanowiskiem.

A photograph of a massive, steep mountain face. The rock is dark and textured, with numerous vertical fissures and ledges. Patches of white snow are scattered across the rock surface, particularly in the lower half and along some horizontal ledges. The sky above is a clear, pale blue. The overall scene conveys a sense of scale and the harshness of high-altitude environments.

Nie interesuje mnie himalaizm,  
ponieważ nie lubię walczyć  
z bólem głowy, z wysokością,  
z oddechem. Chcę się zma-  
gać z trudnościami ściany, wy-  
korzystać maksymalnie swoje  
ciało w świadomy sposób.



Koniec trudnego wyciągu na drugiej barierze skalnej. Krucha skała daje się we znaki.

nymi. Na prowadzeniu zmienialiśmy się spontanicznie, Tomowi przypadło więcej wyciągów klasycznych, ja wziąłem na siebie główne trudności hakowe w kruchym terenie. W dolnych partiach ściany napotkaliśmy kilka takich odcinków.

Obserwując wspinającego się Toma, byłem pod wrażeniem jego zapału, umiejętności i motywacji. Niewielu jest wspinaczy, którzy całe swoje życie stawiają na wspinaczkę. Dziś nawet ja znajduję czas na rodzinę i pracę, dzięki czemu osiągnięte w ostatnich latach sukcesy cieszą mnie potrójnie.

W trakcie przebijania się przez drugą barierę odpadłem. Beak wbity w wydawałoby się litą skałę tuż nad stanowiskiem nagle wyskoczył z odłamkiem, który uderzył mnie w twarz. Delikatne skaleczenie i kilka kropli krwi to nic w porównaniu z tym, co mogło się wydarzyć. Ściana pamięta bardziej dramatyczne chwile. Po chwili wróciłem do ostatniego punktu, zobaczyłem, że wyrwałem też założoną niżej kostkę. Poprawiłem asekurację i skończyłem wyciąg.

Podczas wspinaczki skupiam się na zawężonym odcinku skały nade mną. Do góry spoglądam tylko po to, aby utrzymać właściwy kierunek wyciągu. Włączam dobrze znane mechanizmy, dzięki którym działam jak maszyna. Wykonuję niezbędne operacje sprzętowe. Sięgam do kolejnego chwytu, nie tracąc czasu na wahanie lub zbędne myśli. Chłodno kalkuluje każdy ruch. Stan ten wypracowywałem latami na kilometrach przewspinanych ścian.



Holowanie sprzętu w przewieszeniu idzie bardzo sprawnie – wory transportowe nie zahaczają o występy skalne.

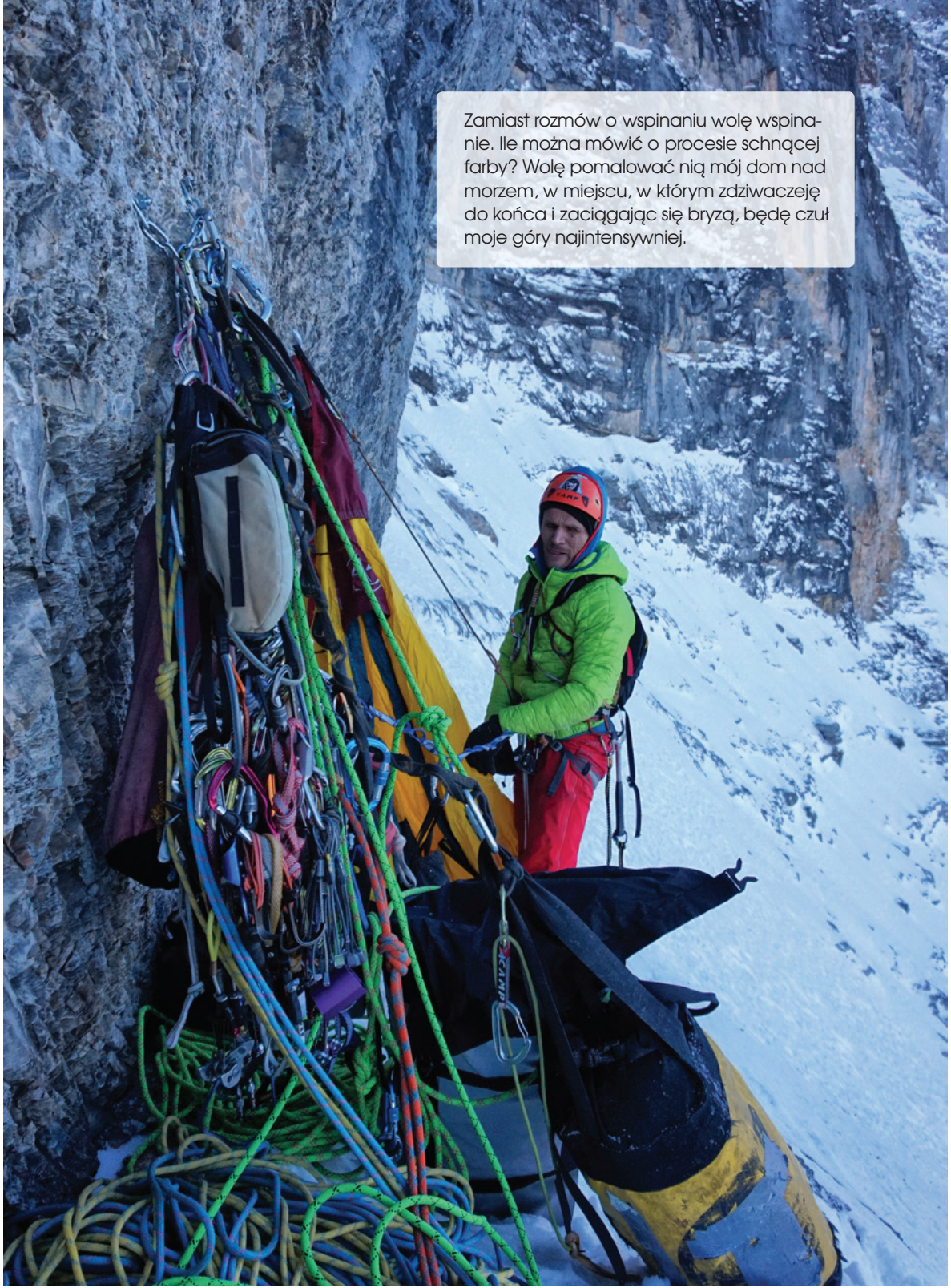
Na stanowiskach asekuracyjnych, holowniczych oraz na odcinkach, na których nie ma możliwości założenia innej asekuracji, wierciliśmy otwory na spity. Stosowaliśmy je tam, gdzie skała była szczególnie połupana i jakkolwiek naturalny punkt nie miał prawa utrzymać obciążenia ludzkiego ciała.

Już przed wyruszeniem w góry Tom zapowiadał letnie uklasycznienie niepowstałej jeszcze drogi. Przesłał mi przez internetowy komunikator zdjęcie wiertarki i akumulatorów. Delikatnie zasugerowałem, aby tę pracę wykonać ręcznie, bardziej stylowo. Wówczas temat umarł.

Ale wiertarkę ze zdjęcia zobaczyłem znowu, gdy Tom wyjął ją z plecaka przed rozpoczęciem wspinaczki. Chyba zauważył moje zaskoczenie. Dziś jestem pewien, że była to dobra decyzja. Oszczędziliśmy nie tylko czas, ale i zdrowie, ponieważ ręczne wbicie wszystkich niezbędnych spitów wymagałoby od naszych stawów i mięśni dużego wysiłku. To mogłoby przechylić szalę na niekorzystną stronę, a z historii ściany wynika, że wiele zespołów korzystało z wiertarek w trakcie wytyczania skalnych dróg na Eigerze.

Biwaki w ścianie wyglądały niemal tak samo. Wpakowanie się do portaledge'a i śpiworów, topienie wody na napoje. Po nawodnieniu zalewaliśmy liofilizaty wrzątkiem i przechodziliśmy do uczty.

Po wieczornych notatkach i uzupełnieniu schematu, którym zajął się Tom, ponownie gotowaliśmy wodę do butelek i kładliśmy się spać. Wstyd się przyznać, że



Zamiast rozmów o wspinaniu wolę wspinanie. Ile można mówić o procesie schnącej farby? Wolę pomalować nią mój dom nad morzem, w miejscu, w którym zdziwaczej do końca i zaciągając się bryzą, będę czuł moje góry najintensywniej.



Tom wziął na siebie stworzenie schematu drogi. Codziennie zapisywał każdy jej metr.

nasze odpoczynki trwały od godziny 20.00 do 6.00 rano. Dawno nie spędzałem tyle czasu w pozycji leżącej, jednak o zasypianiu o tak wczesnej porze nie było mowy. Zazwyczaj zapadałem w sen długo po północy, mając za sobą sporo przemyśleń i godziny wiercenia się w śpiworze. Za to sny miałem przepiękne. Uśmiechające się do mnie syreny kusily swoimi wdziękami, kierując mój okręt ku zdradzieckim skałom. Wiedząc o tym, cieszyłem się ich obecnością, za każdym razem wycofując się w ostatniej chwili przed wydawałoby się nieuchronną śmiercią. Poranki budziły nas kawą i moimi zestawami śniadaniowymi w ziplockach, które posortowałem w Szczecinie. Składały się z muesli, kilku cukierków, kawy 3 w 1 oraz batonów.

Po dotarciu do trzeciego biwaku pod ostatnią, największą barierą skalną prowadzącą na filar, wbiliśmy się w najpiękniejszy wyciąg drogi. Wersja hakowa jest krucha, jednak w lecie widzę możliwość obejścia jej po lewej płycie, która oferuje przepiękne chwyt. Kończąc tę długość liny, zerknąłem do góry. Nad nami było jeszcze morze skały, a za nim ocean śniegu i lodu. Ściana wydawała się nie mieć końca.

Czwarty biwak wypadł w połowie ostatniej bariery ponad niewielkim półkiem śnieżnym. Powyżej zastaliśmy więcej terenu klasycznego. Od czasu do czasu podhaczając, pokonywaliśmy kolejne długości liny, aż dotarliśmy do letniej drogi Toma z 2009 roku. Mój partner znał ten teren, więc poprowadził ostatni odcinek



Szczyt i pierwsze promienie słoneczne. Roztrzaskane okulary zostały w plecaku.

do filara, gdzie ściana wyraźnie łagodnieje. Po zaporęczowaniu tego odcinka wróciliśmy do biwaku, aby przygotować się do finalnego ataku szczytowego.

Kolejnego dnia wstaliśmy w nocy i po pokonaniu po poręczach pięciu wyciągów rozpoczęliśmy podchodzenie polami śnieżno-lodowymi w kierunku grani Eigeru. Przed nami niemal tysiąc metrów terenu o nastromieniu pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stopni. Teoretycznie powinien być tu śnieg, my napotkaliśmy również szklisty lód. Mimo to warunki do wspinania były bardzo dobre i o godzinie 14.00 zameldowaliśmy się na szczycie. Po raz pierwszy od tygodnia poczułem na twarzy promienie słońca. Bez okularów przeciwsłonecznych, roztrzaskanych w plecaku, podczas „pozowania” do zdjęć krzywiłem się jak po wypiciu soku z cytryny. Tom najwyraźniej przeżywał ten moment gdzieś głęboko w sobie. Trudno mi go rozgryźć, ale nie robię tego na siłę. Dobrze jest jak jest. Każdy z nas zna swoje miejsce i zadania w zespole. Wspinaczka z takim partnerem to przyjemność.

Wzruszył mnie widok, jaki roztacza się z tego kultowego szczytu. Wspomniałem rok 1995 i niełatwy etap życia, w którym wtedy tkwiłem. Samotność, rozbita rodzina, alkoholizm ojca, z którym do dzisiaj nie mam kontaktu. Cieszyłem się, że ponad dwadzieścia lat później dojrzałem do wytyczenia drogi, która w pewnym sensie zamknęła rozdział w moim osobistym życiu. Pomimo że w międzyczasie wytyczałem wiele trudniejszych dróg na wyższych ścianach i w bardziej odległych górach, to jednak ta na morderczym Eigerze była o wiele bardziej pokręcona i nieprzejezdna.



Zejsście ze sprzętem do stacji Alpiglen – na szczęście na raz.

Podziękowaliśmy sobie za wspinaczkę, wiedząc, że to jeszcze nie koniec, że czekają nas trudne zjazdy. Przypuszczenia się sprawdziły. Skała okazała się bardzo niewdzięczna i krucha – nie przyjmowała żadnego haka. Tom wyjmował stare spity dosłownie palcami. Pozostawiliśmy część sprzętu: trzy śruby lodowe i kilka spitów, które wraz z ręczną spitownicą zabraliśmy na wszelki wypadek. Okazały się nieocenione. Do podstawy ściany czekało nas jeszcze czterdzieści zjazdów, jednak zatrzymaliśmy się na noc na czwartym biwaku. Dzień szczytowy dał nam ostro popalić, więc tej nocy herbata smakowała wyjątkowo wybornie. Kolejnego dnia zająłem się pakowaniem biwaku, a Tom likwidacją poręczy. Gdy do niego dołączyłem i obserwowałem, jak pracuje, doszedłem do wniosku, że jest maszyną do wspinania. Przed nim jeszcze długie lata w górach. „Uważaj na siebie, Tom”, powiedziałem w myślach. „Uważaj”.

Po kilku godzinach komfortowych zjazdów dotarliśmy do podstawy ściany. Przybiliśmy piątkę. Cieszyliśmy się – każdy po swojemu. Smakując tę chwilę, oddałem się aktywnej medytacji. Tom też gdzieś odpłynął.

W trakcie zejścia ciągnęliśmy za sobą wory transportowe wypchane sprzętem, dzięki czemu znieśliśmy cały dobytek na raz i zdążyliśmy na kolejkę przewożącą turystów i narciarzy z Kleine Scheidegg oraz wyższych stacji do Grindelwaldu. Na dole czekało ciepłe i komfortowe autko. Kolejna noc w hostelu pozwoliła nam przepakować i wysuszyć cały sprzęt. Dobrze jest wrócić na ziemię i skorzystać z jej dobrodziejstw. Ale by to docenić, muszę być tam – wysoko.



62°29'08.93" N 7°43' 03.86"E  
59°02'04.83" N 6°34' 39.10"E

#NORVEGIA

2015

KATHARSIS I DZIKIE HISTORIE

62°29'08.93" N 7°43' 03.86"E  
59°02'04.83" N 6°34' 39.10"E

62°29'08.93" N 7°43' 03.86"E  
59°02'04.83" N 6°34' 39.10"E

*Na alpinizm składa się dziewięć części udręki, a tylko jedna część radości. O tych dziewięciu częściach szybko się zapomina. Ta dziesiąta to wspinały granat nieba nad głową usianego miriadami gwiazd, to uczucie radości płynące z pokonania siebie, własnej słabości; to więzy koleżeństwa i przyjaźni. O tej dziesiątej części nigdy się nie zapomina. Uczucia te zabieramy ze sobą w doliny jako nasz największy skarb.*

Tadeusz Piotrowski, *W lodowym świecie Trolli*, 1986.

## KATHARSIS

Tydzień przed wyjazdem do Norwegii poczułem, że najwyższy czas zresetować swoją doczesność. Wymazać gumką styl, który z upływem czasu zmienił się w złe skrojony nawyk. Postanowiłem opróżnić z odzieży wszystkie szafy i szuflady. Część ubrań wylądowała na śmietniku, część oddałem bliskim. Do tej chwili nie znalazłem innego sposobu, by tego dokonać. Po uporaniu się z szafą do odświeżenia pozostała już tylko moja głowa. Miałem wkrótce przekroczyć kolejną czasową barierę – czterdzieści lat – długo wyczekiwaną i zasłużoną. Czułem, że wytyczenie nowej drogi na słynącej z wymagających warunków ścianie odmieni moje mentalne i duchowe szaty.

Była to nasza trzecia wyprawa z Markiem „Reganem” Raganowiczem. Śmiałyśmy się, że więcej dni spędziliśmy razem w ścianie niż na ulicy. Spotkaliśmy się lata temu nad Morskim Okiem, dosłownie na kilka minut. Rok przed wspólną wyprawą na Polar Sun Spire na Ziemi Baffina spędziliśmy wieczór w pubie na ustaleniach taktycznych. Ponownie zobaczyliśmy się dopiero na lotnisku w dniu wylotu. To zabawne, gdyż obaj pochodzimy ze Szczecina, wychowywaliśmy się na jednej ulicy, niemalże klatka w klatkę. Zarówno na Baffinie, jak i w Pakistanie, gdzie na Great Trango Towers wytyczyliśmy w 2013 roku nową drogę *Bushido*, czuliśmy się jak sprawnie działająca maszyna. Jeden cel, podobne myślenie – można by rzec, nawiązując do nazwy naszej drogi, „superbalanced team”.

Najważniejszą bohaterką tej opowieści w zimowej szacie będzie północna ściana Trollveggen w Norwegii. Jedno z największych skalnych urwisk i wyzwań alpinistycznych w Europie. Tysiąc sto metrów eksponowanego, bardzo zróżnicowanego, trudnego do pokonania terenu w kapryśnej pogodowo dolinie Romsdal. Wspinało się na niej tylko kilka polskich zespołów. Sukcesem zakończyła się wyprawa z 1972 roku kierowana przez Tadeusza Piotrowskiego. Wtedy po raz pierwszy dokonano zimowego przejścia tej ściany. Wielkie osiągnięcie wielkich ludzi. Po ponad dwóch dekadach, w 1994 roku, również zimą, doborowy zespół w składzie: Stanisław Piecuch, Janusz Gołąb i Jacek Fluder, nieprzypadkowo zwany Dream Teamem, powtórzył legendarną drogę *Arch Wall*. Przejścia te elektryzowały i inspirowały moje pokolenie.

18 stycznia 2015 roku odebrałem „Regana” z lotniska w Oslo, by razem podążyć do Åndalsnes – małego miasteczka u stóp Trollveggen. Późnym wieczorem zatrzymaliśmy się w motelu, gdzie przygotowaliśmy się do wspinaczki. Naszym celem było wejście w ścianę bez wcześniejszego poręczowania – jeszcze żaden zespół



Metry, metry – mówił Yeti. Yeah! – odpowiadał „Regan”.

nie zdecydował się zimą na taką taktykę. Wcześniej wszyscy przed atakiem mieli powieszone liny na przynajmniej kilku wyciągach. Jedyna pokonana tu zimą droga wytyczona została przez zespół sześciu Rosjan. Z informacji miejscowych wspinaczy i z przewodnika wynikało, że w trakcie prowadzenia zaporęczowali całą ścianę do samego szczytu. Dwójka wytyczała linię, pozostałe cztery osoby donosiły sprzęt z bazy położonej pod ścianą lub z motelu, zmieniając się na prowadzeniu, wymieniając mokrą odzież i śpiwory.

Kiedy poznaliśmy te fakty, nasz szacunek do powagi ściany powędrował w kosmos. Podczas rozmów z Markiem o nowej drodze czułem, że drzazga coraz bardziej mnie uwiera. Dzień po przyjeździe rozpoczęliśmy transport sprzętu pod kamień za polanką – trzy podejścia. W kolejnych trzech przenieśliśmy graty pod ścianę. Dobre warunki śniegowe pozwoliły sprawnie przerzucać ekwipunek. Zagrożenie lawinowe praktycznie nie istniało, ale to akurat mogło się szybko zmienić. Błyskawiczne zmiany temperatur w Romsdal mają czasem wahania nawet kilkudziesięciu stopni. Gdy temperatura jest na plusie, najlepiej uciekać spod ściany jak najdalej!

22 stycznia nazwaliśmy dniem zero. Atakujemy! Pierwszego dnia, po trzydziestu metrach wspinaczki, założyliśmy pierwszy biwak. Nazajutrz wstaliśmy o 6.00 i pokonaliśmy niecałe dwa wyciągi, wspólne z *Drogą Francuską*. Trzeciego odbiliśmy na naszą drogę i wytyczyliśmy kolejne dwa odcinki, by później zwolnić tempo do jedne-



Z czasem przychodzi znieczulenie na trudności i niebezpieczeństwo. Przyjmuję je jako rzecz naturalną. Wbijam hak, zauważam, że się rusza, ale wpinam się do niego. Boję się, ale nie widzę innej opcji poza powieszeniem się na nim i pójściem do góry. Oswajam w ten sposób ścianę. Trzeba się dużo wspinać, żeby ten stan osiągnąć.

Piąty dzień wspinaczki – dla Marcina ostatni w niebieskiej kurtce, która następnego dnia spadła do podstawy ściany.